

Jefferson czytał książkę kiedy zegarek zamigotał. Zebranie awaryjne. Westchnął odkładając „Dziadka do orzechów” na stolik i odebrał połączenie. Na ekranie pojawiła się pomarszczona twarz, szefa wydziału renowacji, Billa O’Neilla.

- Nie będę powtarzał, więc słuchaj uważnie Jeff. – Powiedział chrupoczącym głosem. – Niektóre dyski organiczne tracą łączność z siecią. Nie ma od nich odpowiedzi zwrotnej a odczytywanie i dalszy zapis strumienia świadomości na nich jest niemożliwy. Jak tak dalej pójdzie to bezpieczeństwa nam się żuci do gardeł za nieutrzymywanie klientów w sieci, więc bierz się do roboty, za coś ci w końcu płacimy.

Jefferson wstał z krzesła i zaczął ubierać kombinezon.

- Wiadomo cokolwiek o problemie?

- Nasze firewalle nie wykryły żadnych wirusów.

- Ktoś musiał je ukryć jako bodziec zewnętrzny albo stymulant rzeczywistości przychodzący do jednego z użytkowników.

- To jest wykluczone, wszystkie dane były przeanalizowane. Nic tam nie było.

Jeff zastygł w połowie ubierania butów. – To wiadomo jaki jest problem?

- Nie, dlatego tam idziesz Jefferson. Teraz zbieraj dupę w troki i leć, zanim prawnicy i media się do nas dobiorą.

Jeff rozłączył się i wyszedł z pokoju pogrążony w myślach. Od dawna nie zdarzył się atak degenerujący dane na dyskach, takie rzeczy miały miejsce na początku tego milenium ale to dawna historia. Teraz najwyżej drobne kradzieże wspomnień użytkowników, czym zazwyczaj zajmował się firewall. Nikt już nie niszczył świadomości. Jedyni ludzie którzy mogli się obawiać takiego ataku, posiadali zapasowe kopie lub prywatne serwerownie, a reszta nie miała się czym martwić.

Jeff szedł korytarzem w stronę windy, patrząc w stronę pustyni i rozmyślając. Jedyne co się wyróżniało na tle piasku i nieba to odległa metropolia rozciągająca się na cały horyzont. Żył w serwisowni która była pełnym przeciwieństwem grmiącego życia miasta w którym zawsze był wyrzutkiem. Idąc śladami rodziców i zostając biosem, niejako przypieczętował swój los.

Jefferson wszedł do windy która wciągnęła go w głąb ziemi. Dalej wspominając zaczął myśleć o swojej matce, która pobudziła w nim ciekawość do twórczości sprzed wieków. Jednymi z najstarszych źródeł wiedzy z którymi zapoznała go matka, były mitologia i filozofia, między innymi grecka, gdzie spotkał się z konceptem statku Tezeusza. Dyskurs ten frasował wiele osób w aktualnej rzeczywistości, w której ludzie mogli żyć jako dane w ogromnej serwerowni. Osoby sceptycznie nastawione do całego tematu, doprowadziły do powstania organizacji „Załogi Tezeusza”. Aktualnie uznawanej za ekstremizm konserwatywny przez większość społeczeństwa.

Jeffersona z zamyślenia wybudził dzwonek windy. Drzwi rozchyliły się a zza nich wyłonił się gęsty las regałów, który aż wrzał mechanicznym życiem. Małe roboty przemykały pomiędzy półkami czyszcząc całe wnętrze z zanieczyszczeń które mogły by zakłócić działanie dysków.

Jeff spojrzął na ekran zegarka z oznaczoną lokalizacją, zdalnie odblokował i otworzył drzwi garażu wagonika transportowego. Wszedł do pojazdu, przyłożył zegarek do panelu sterowania i maszyna ruszyła w stronę wyznaczonego miejsca. Wagonik pędził między rzędami półek, a roboty schodziły mu z drogi. Nagle koła zahamowały z piskiem. Konserwator wysiadł płynnym krokiem z wagonika i ruszył szybko przez labirynt aby odnaleźć niewspółpracujące dyski. Przed półką, niczym rycerz przed wejściem do pałacu, nieruchomo stał mały robocik.

- Spocznij żołnierzu – Powiedział Jefferson i zasalutował żartobliwie, po czym przesunął delikatnie robota który, nie będąc już potrzebny, odjechał aby zająć się swoimi robocimi sprawami. Jeff zaśmiał się w duchu i zajął się wyciąganiem migoczącej macierzy, z której wysunął jeden z dysków aby sprawdzić obwody. Okazało się to jednak niemożliwe ponieważ dysk był absolutnie zmasakrowany. Cytosol wylewał się przez rozdarte błony, karioprocesory były kompletnie nie do użytku, chromatydy były w pół zdekondensowane i rozrzucone po całym dysku. Jeff zbladł. – Mam przesrane – Powiedział sam do siebie i zadzwonił do kapitana.

- Znalazłeś coś Jefferson?

- To nie był atak wirtualny szefie. Dyski są mechanicznie uszkodzone, jedyne co mi przychodzi do głowy to błąd u jednego z robotów czyszczących.

- Nie ma szans Jeff, sprawdzaliśmy wszystkie roboty i wydają się w porządku. Ale mam dla ciebie złe wieści. Kolejne dyski zostały uszkodzone.

- Może ktoś tu wszedł?

- Czujki żadnego człowieka oprócz ciebie nie zarejestrowały.

„Oczywiście jest możliwość maskowania lub ataku hakerskiego na zabezpieczenia - Pomyślał Jeff - ale wniosek jest jeden”.

- Mamy tutaj intruza. Wyślijcie wsparcie.

- Wyślemy je ale zanim dotrze, minie za dużo czasu. Do tego momentu świadomość licznych ludzi odejdzie w niepamięć. Niestety będziesz musiał go znaleźć i zająć się nim sam. Powodzenia Jefferson. Wielu ludzi na tobie teraz polega.

„Polega, jasne. I jak coś się spieprzy to na mnie poleci ściek, genialnie” - Ale tą myśl Jefferson pozostawił dla siebie i tylko burknął - Możesz na mnie liczyć szefie.

- To świetnie, a teraz bierz się do roboty. – Kapitan rozłączył się, pozostawiając Jeffersona sam na sam z Minotaurem który teraz krążył po labiryncie. Jeff niestety, w przeciwieństwie do Tezeusza, nie dostał magicznego miecza bo nikt nie myślał, że będzie potrzebny. Nikt niestety nie spodziewał się ataku niewidzialnych ludzi.

Jeff westchnął głęboko i ruszył pozostawiając wagonik, który mimo że był szybki, robił za dużo hałasu. Ruszył więc w otchłań do kolejnego punktu uszkodzeń, uzbrojony jedynie w latarkę oraz gaśnicę którą wziął ze ściany. Niezbyt poręczna, aczkolwiek zapewniała pewien komfort.

Przemierzał tak ciemność a każda mijana półka była niewiadomą za którą mógł czekać ekspres w jedną stronę do Hadesu. Każdy jego krok brzmiał jak uderzenie młota, a szmer robotów w oddali brzmiał jak narastająca burza piaskowa. Jeff postanowił zdalnie tymczasowo dezaktywować roboty. Szybko jednak pożałował tej decyzji. W absolutnej ciszy, poczuł się nagi i osaczony. Teraz każdy jego krok rozbrzmiewał na kilometry. Czuł jak z każdą chwilą traci kolejne ziarnko odwagi.

Wyrzwał zza rogu patrząc na regały z uszkodzonymi matrycami. Przez korytarz ciągnęła się pustka oświetlona ledowymi lampami. Mężczyzna podkraść się do półki i wyciągnął matryce. Dyski wyglądały identycznie do poprzedniego. Odłożył wszystko na miejsce kiedy nagle usłyszał szmer po drugiej stronie półki. Zastygł. Nie ruszał się, nie

oddychał, nawet nie mrugał, żeby nie wydobyć z siebie najcichszego dźwięku. Kiedy szmery ustały Jefferson ruszył powoli wzdłuż półki. Droga wydawała się ciągnąć w nieskończoność lecz parł dalej. Krok po kroku przez wieczność, w końcu dotarł i przycupnął przy rogu. Wyjrzał zza ściany, kiedy bez ostrzeżenia ciszę przerwały słowa.

- Jefferson. Melduj sytuację. – Powiedział ogłuszającym szeptem kapitan.

Jeff w tamtej chwili już leżał na podłodze, oddał się w ręce losu, jeśli miał zginąć w ten sposób, trudno. Zdążył się już pogodzić ze swoją sytuacją. Nikt jednak nie nadszedł aby ukrócić los Jeffersona mimo całego harmidru. Leżał tak, aż ponownie zaatakował go głos kapitana.

- Jefferson, natychmiast melduj sytuację!

- Z całym szacunkiem kapitanie ale niech pan idzie się... - Chciał dokończyć kwiecistą wiązanekę wyprowadzoną w stronę szefostwa i jego rodowodu ale przerwał mu ponowny szmer w korytarzu. Wyłączył zegarek pozostawiając kapitana na pastwę niewiedzy. Teraz miał na głowie sprawę życia i śmierci, nie miał czasu na byle urzędasza.

Jefferson ponownie schował się za półką. Usłyszał coraz bardziej oddalające się szmery. Ruszył za nim powoli starając się nie zdradzić swojej pozycji. Podążał tak przez długi czas, aż nagle ucichły. Jeff został w pustce. Przez chwile stał tak zawieszony w nicości czekając na dalszy bieg sytuacji. W końcu szmer powrócił z tej samej strony. Potem przybył z kolejnej i następnej. Zaczęły go otaczać. Kiedy Jeff zrozumiał co się dzieje, było już za późno, złapali go. Co mógł teraz zrobić?

„Tylko spokój może nas uratować” jak to mówiła jego matka. Musi o tym pamiętać. Zaczął się rozglądać w poszukiwaniu rozwiązania. Kiedy zobaczył drzwi garażowe miał już plan. Zaczął działać błyskawicznie.

Odpalił zegarek i otworzył najbliższe drzwi garażowe do których miał zaledwie kilkanaście metrów. Teraz musiał tylko zająć nieproszonych gości na parę cennych chwil. Nie czekając aż drzwi w pełni się otworzą, Jefferson wystukał numer, uruchomił zamykanie drzwi, zadzwonił, sprintem poleciał w stronę garażu i rzucił zegarek w przeciwnym kierunku. Z urządzenia wydobył się krzyk oburzonego kapitana, lecz Jeff nie miał na to czasu. Pędził ile sił w nogach a ciężkie buty uderzały o podłogę z impetem. Nie oglądając się za siebie wskoczył prosto do garażu, ledwo zdążając przed jego

zamknięciem. Teraz mógł odetchnąć. Aby obsługiwać drzwi potrzebne były jego linie papilarne.

Jefferson był teraz bezpieczny za drzwiami, które były nie do otwarcia zanim przybędą posiłki o których wspomniał kapitan. Wstał z ziemi otrzepał się z nie istniejącego kurzu i wyjrzał przez okienko aby przyjrzeć się swojemu oprawcy. To co zobaczył zupełnie nie odzwierciedlało obrazu zagrożenia w jego głowie. Jeff zaczął się bezmyślnie śmiać. Czuł, że obłęd stałego napięcia w końcu wyrządził nie odwracalne szkody ale jego oczy jednak się nie myliły. Ludzie masowo umierali, i to coś ponosiło za to wszystko winę.

- Przydałyby się tutaj ołowiane żołnierzyki... i dziadek do orzechów. – Jeff zaśmiał się ponownie i przyglądał się jak w głębi korytarza obłąkańczo, niby nie z tego świata, pełzła plastyczna plama splecionych prastarych istot, od wieków przypadkowo nękających swoim istnieniem gatunek ludzki, prawie tak dobitnie, jak człowiek nękał ich rodzaj. Siedzące wokół emanującego zegarka, czarnymi błyszczącymi oczami spoglądały prosto w dusze. Myszy.